Rok VI. Dnia 15 (27) Czerwca 1885 r. № 26.

WIECZORY RODZINNE

Mickiewicz (Adam).

Uczta przed pięćdziesięciu laty.

p. Z. Morawską.

Przeszło już temu pół wieku, do maleńkiego mieszkanka przy ulicy Saint Nicolas w Paryżu zapukało kilku młodych jeszcze ludzi. Wyglądali oni jakoś inaczéj, niż wszyscy mieszkańcy nadsekwańskiéj stolicy, a mowę ich lepiejby zrozumiał wieśniak, orzący rolę nad Wisłą lub Bugiem, niż najuczeńszy mędrzec w Paryżu. Gdy na pukanie nikt nie odpowiedział, jeden z przybyłych ujął za klamkę; drzwi były otwarte, weszli więc po cichu, wskazując porozumiewającém przyjazném spojrzeniem na pochylonego w drugim pokoju przy biurku gospodarza. A znać był on wielce zajęty pracą, może nawet nie słyszał wchodzących, a może mimo, iż czuł ich za plecami, nie chciał sobie przerywać pisania. Po chwili dopiero z drugiego pokoju ozwał się głos radosny:

— Chwała Bogu „finis".

Na co przybyli odpowiedzieli również radośnie: „Wiwat!" a podążając do wychodzącego ku nim gospodarza, serdecznym go obdarzyli uściskiem.

— Wiwat—powtarzano dokoła.

— Wiwat „Pan Tadeusz!"

— Wiwat jego twórca, nasz kochany Adam Mickiewicz.

— A tośmy trafili na ucztę! — wołano radośnie!

— Na ucztę? — zaśmiał się autor — a więc dobrze, niech będzie i uczta! zaproszę was do miejsc tyle nam drogich! przeniesiemy się w odległe a znane nam strony. I to mówiąc, Adam Mickiewicz przyniósł rękopism, aby podzielić się z przyjacioły wspomnieniami o ziemi rodzinnéj i zaczął:

Tymczasem przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitém,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niéj z rzadka ciche grusze siedzą.

Słuchający tego czytania przyjaciele, Bohdan Zaleski, Zan i kilku innych, tak się zasłuchali, iż znać było, że rzeczywiście z ciasnéj uliczki Saint Nicolas przenieśli się na szerokie, woniejące zbożem i kwieciem ukochane pola.

Od owéj chwili, kiedy Mickiewicz czytał przyjaciołom co tylko ukończony najznakomitszy swój utwór, upłynęło już pół wieku, a na drugie pół wieku drugi rok już bieży. I od owéj chwili każdy z nas, gdy czytać zacznie Pana Tadeusza, oderwać się od téj księgi nie może, tyle tam zawsze znajdzie piękności. Można przeczytać od początku do końca, zamknąć książkę, znów ją otworzyć i od pierwszéj do ostatniéj kartki czytać z największém zadowoleniem, tak zupełnie, jak gdybyśmy rozmawiali oddawna ze znanemi i kochanemi osobami, lub też oglądali miejsca, gdzie nam przyjemnie czas schodził. Bo i któż z nas choć raz w życiu nie był w lesie na grzybach? Wśród szumu lasu, świegotu ptasząt i wesołych okrzyków towarzyszów, czas mu zeszedł rozkosznie! Mickiewicz zaraz mu w grzybobraniu i ten las przypomni, mówiąc:

Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw' ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniéj sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennéj pory.
Czy zimą. — Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różném winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka, zaś innych imiona.
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych, nikt dotknąć nie raczy;
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój zobaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie:
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie...

Lecz w lesie doleciał nas odgłos trąbki i mimowoli czyt[ając] o grzybobraniu, ten odgłos usłyszany podczas przechadz[ki] przyszedł nam na myśl. Chciałoby się go usłyszeć, przeczy[tać] to nasz poeta i mówi:

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg; powoli, długi, centkowany, kręty,
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher, wirowatym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni,
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nią wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Z razu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potém jęki, po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze: a to echo grało.

Zadął znowu. Myślibyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego, to grubiał, to cieniał
Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję

Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowéj arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Jeżeli zaś znajdziemy się w towarzystwie, gdzie chwalą tylko zagraniczne widoki i bogactwa przyrody, zapominając, że kraj nasz również ma swoje piękności, zaraz nam przyjdzie na myśl odpowiedź Tadeusza, głównego bohatera utworu:

Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie
I na południu, w owéj pięknéj włoskiéj ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna, karlica, z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem, nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie;
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiéj żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczém nie sprzeciwić.

„Czy nie piękniejsza nasza, poczciwa brzezina
Która, jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą jak wymownie szlocha!
Czemuż pan hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych pośród których siedzi?
Prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznéj litewskiéj równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie."

A tak przewracając kartka po kartce, znajdziemy w téj książce wszystko, co się tylko składało na życie domowe ojców naszych, życie, które jeszcze teraz i nas samych otacza. Więc jest tam i gospodarstwo i przyjemności, modlitwa i zabawa. Pan Tadeusz jest najwierniejszym obrazem całego naszego społeczeństwa, a dziś cudzoziemcy, czytając ten utwór, nabierają dla nas sympatyi, choć w owéj książce tak wady jak i zalety naszego charakteru są przedstawione.

I właśnie dla tego jest tak piękną, bo w niéj się mieści najczystsza prawda! Na téj to prawdzie snując swą powieść, Mickiewicz dał nam tę wspaniałą ucztę, któréj używa naród od lat pięćdziesięciu. Nieśmiertelny Adam, pisząc Pana Tadeusza, był w całéj sile wieku; (miał lat 36), od 1855 zwłoki jego kryje obca ziemia, (pochowany w Paryżu na cmentarzu Montmorency) a naród wielbi wieszcza, powtarzając jego utwory z coraz większém upodobaniem. Uczta rozpoczęta przed pięćdziesięciu laty trwa ciągle i trwać będzie dopóty, póki będzie choć jedno serce, które wraz z autorem czuć i myśleć potrafi, choć jedne usta, umiejące te myśli powtórzyć, a do uczty téj zasiadają i ci, którzy dotąd nie znali naszego języka. Cudzoziemcy, dla miłości Mickiewicza uczą się po polsku, czytają i tłómaczą jego dzieła.

Cześć Mickiewiczowi, cześć nieśmiertelnemu poecie!

BAŚŃ O PAPROCI

p. Z. Morawską.

(Dokończenie).

Ale te wszystkie narady nic nie pomogły. Pot z czoła spływał chłopakom stos otaczającym; siekierki uderzały o kamienie, lecz żadna iskra ogniem nie zapłonęła. Aż Siłomir rzekł:

— No niechaj wszyscy, co są wedle stosu, chłopcy i dziewczęta przyjdą tu przedemnie!

A ledwo wyrzekł, szereg chłopaków otoczył go w półkole z prawéj strony, a z lewéj stanęły dziewczęta, niby najpiękniejsze kwiaty. A Wida stała na przodzie górując nad wszystkiemi wzrostem i urodą. Około niéj stało dwanaście małych dziewcząteк, które zawsze mieć przy sobie chciała, używając do posług wszelkich. Gdy wszyscy tak stanęli, Siłomir rzekł:

— Złe jakieś duchy psują uroczystość i zabawę; a to niech każdy plunie za siebie, aby złe odpędzić, a niech potém poda sposób jakimby potrzebną iskrę do objatnego ognia wykrzesać. Wida niech zaczyna, a kto według jéj sposobu pierwszy ogień wznieci, ten weźmie ją za żonę, a z nią i władzę po mnie.

Starszyzna przyzwoliła, szmer przeleciał wśród całego koła, każdy chciałby jak najprędzéj wyrok z ust Widy usłyszeć, a według jéj rozkazu, biedz po ową iskrę, choćby na koniec świata.

Wida zaśmiała się, białe ząbki pokazała, okiem modrém na okół spojrzała, a potém rzekła:

— Kiedyć ognia skrzesać dziś tak trudno, niechaj nam go samo słonko użyczy! a oto ono rzuciło w głąb Dunajca jasne promienie, a mieni się ognistą smugą, rosypując iskry we wodzie.

Dreszcz przebiegł po wszystkich, bo gdzież tu iskrę ognistą wyciągnąć z wody. Lecz Wida uparcie patrzyła na złoty smug słonka i na migające iskierki w głębinie, a tak się jakoś uśmiechała dumnie i szyderczo, że chociaż była urodziwą, a państwo Siłomirowe było bogate, niejednemu ochota odbiegła do kuszenia się o te skarby. Kilku też zaledwie rzuciło się w wodę, inni tymczasem zawodzili pieśni. Po chwili owi śmiałkowie powrócili omoczeni wodą, lecz żaden nie uchwycił żądanéj iskierki z słonecznego promienia. Wida jeszcze dumniéj spojrzała, a rozśmiawszy się głośno, rzekła:

— Ojcze, a kneziu, pozwól żebym sama poszła po ową iskierkę, a jeżeli mi słonko onéj użyczy, niechajże wtedy ja sama po tobie władzę obejmę!

Siłomir nie dał na to odpowiedzi, lecz spojrzał po starszyznie, która przyzwoliła, znając miłość starego knezia do córki, a przyzwoliła dlatego, iż kiedy parobcy owéj iskry nie zdobyli, jakżeby ją uchwycić mogła dziewka, choćby nawet córka samego knezia. Lecz prawe serca całéj drużyny nie przeczuwały zdrady, jaką kryła piękna Wida.

— Dalejże wy, dziewczęta, za mną — zawołała do swoich przybocznych—i pobiegła wprost do rzeki, gdzie już tylko słaby promyczek słonka igrał po powierzchni wody. Wida biegła jako tuman piasku, gdy wiatr nim rzuca na wszystkie strony, a złociste jéj włosy rozwiewały szeroko na okół jakby błyskawice. A nietylko przyboczne jéj dziewczęta lecz i cała młodzież podążała za nią, chcąc się przypatrzeć jak ona złotą iskrę z promieni słonka chwytać będzie, i śmiać się, gdy jako inni, bez iskry powróci. Podążali więc za nią, lecz jako w sile tak i w biegu nikt córze Siłomira dorównać nie mógł; zda się, że sami bogowie wzięli ją w opiekę. A gdy inni zaledwo dochodzili do rzeki, Wida wychodziła z wody owijając rąbkiem szaty jednę dłoń swoją, a drugą zebrawszy garść suchéj trawy, przytknęła do zakrytéj dłoni; ogień buchnął płomieniem! Wida uchwyciła krzak zeschły, wyrwała go z korzeniem, zapaliła przy tém ogniu i jako wicher daléj pędziła. A słonko skryło się też za góry, ciemność zaległa od-

koła, i nic nie widać było, tylko Widę pędzącą z płomieniem w dłoni i wielkie czarne skały dokoła polany...

Wreszcie przybiegła, płomień rzuciła, stos zapłonął. Godownicy widząc upragniony ogień, rozpogodzili lica, nie pomnąc kto i jakim sposobem ową iskrę zdobył. Ci zaś, co nie kusili się o zdobycie onéj, ze śmiechem nawet spoglądali na tych, którzy omoknięci chętnie zbliżali się teraz do ogniska, by się około niego osuszyć. Ino starszyzna zwiesiła głowy i jakieś szmery między niemi przebiegły. I starsze niewiasty i babule też niedobrze wróżyły, iż ów ogień dziwną jakąś siłą przez dziewkę zdobyty został, czego nigdy dawniéj za ich młodości nie bywało. Lecz pieśń młodzieży głuszyła te szmery, dźwięcząc daleko, a echo powtarzało jéj dźwięki. A gdy pieśń tak dźwięczała, Wida skinęła na dziewczęta będące zawsze przy jéj boku i rzekła:

— Bieżcie, gdzie która może, a odnajdźcie mój wianek zielony, bom go w rzece, szukając iskry, zgubiła. Odnajdźcie ten sam, lub szukajcie ziela takiego, z jakiego był uwity, a wracajcie z nim, nim ogień obiaty zagaśnie. Boć wiecie, że bez wianka chodzić mi się nie godzi.

Dziewczęta spojrzały, a oto na głowie Widy zamiast wianka, ino wąż zielony w krąg się owinął. Otworzywszy oczy, patrzały na nią z podziwem i stały jakby nieżywe. Aż Wida krzyknęła na nie:

— Bieżcie co dechu! a jeżeli wrócicie bez mojego wianka, wszystkie was jedną ręką wrzucę do rzeki!

To mówiąc, tupnęła nogą i ręką skinęła w stronę Dunajca, a z za rąbka odzieży wysunęła się siekierka i kamyk z którego właśnie wykrzesała iskrę, podając ją przed ludem za iskrę bożego słonka. Dziewczęta ujrzawszy owo straszne przestępstwo, aż oczy dłońmi zakryły i płacząc rozbiegły się wśród skał, krzewów i ponad brzegiem bystrego Dunajca. A Wida wróciwszy do bawiącéj się drużyny wplątała się w koło i pieśń zawiodła:

„Iskrą słonka zapalony, płonie stos obiaty — stary kneź nasz, héj Siłomir, daje władzę córze — by przy uczcie wśród obiaty jako on stanęła! Swojéj córze..."

Lecz nikt téj pieśni za nią nie powtórzył, wiatr tylko zawył żałośnie, a od starszyzny ozwał się gromki głos Siłomira:

— Wido, bywaj! Młodzi bywaj!

Na głos ten rozprzęgło się koło, i znowu po obu stronach półkolem młodzież wśród starszyzny stanęła, a Siłomir zmarszczywszy groźnie brwi krzaczaste i tamując gniew w piersi rycerskiéj, zawołał:

— Wido, nadto chce ci się władzy, nie zapominaj, że dziewką ino jesteś, a tylo władzę taką, jako przystało niewieście, mieć możesz; a więc choć zdobyłaś ową iskrę, innéj próby jeszcze starszyzna, a lud mój żąda, nim przystanie na twoje po mnie rządy.

— Tak, innéj jeszcze próby żądamy — zawołano dokoła!

Wida nasrożyła białe czoło, lecz gniew swój pokryć umiała, a schyliwszy głowę, rzekła:

— Jako rodzic mój, pan a kneź nakaże, tak Wida jemu i starszyznie posłuszną będzie.

Mową tą ujęła sobie wszystkich, starszyzna z zadowoleniem pogładziła brody, Siłomir rozchmurzył swoje oblicze, a gdy wieść ta doszła do niewiast statecznych. rzekły:

— Mądra dziewka, takiéj też trzeba knehini, co w radzie nie ustąpi, a jak trzeba schyli czoło!

Ba i młodzi się podobała jéj mowa, i już każdy do nowych zapasów się szykował, a nikt nie zważał, że Wida schyliwszy czoło chytrze się uśmiechała, a dla większéj niby pokory, aż obie ręce zarzuciła na głowę. A nie z pokory to było, ino żeby zakryć węża, który brak wianka na jéj włosach zastępował. A gdy tak wszystkich za serce chwyciła, Siłomir rzekł:

— Niechaj dorzucą ziół przyniesionych, niech młódź pieśń piękną zaśpiewa; niech potém najdzielniejsi przeskakują przez płonące ognisko, a kto przeskoczy i dosięgnie wianka, który Wida na najwyższéj złoży gałęzi, ten mężem Widy a następcą moim będzie.

Wida zaraz pobieżała, śmiałą dłonią na sam szczyt drzewa zarzuciła węża, i jakby nigdy nic, powróciła do dziewcząt grona, spoglądając to w jedną to w drugą stronę, zali wysłane dziewczęta nie wrócą ze zgubionym wiankiem. A ledwo Siłomir ogłosił swą wolę, młódź zaraz do stosu z radością wróciła, rzucono zioła, stos szerokim zajął się płomieniem i pieśń zadźwięczała:

„Jako sokół w górę wzlata, w powietrzu szybuje, — tako chłopcy i my dzielnie daléj do gonitwy! kto dzielniejszy ten i lepszy! ogień wielki niech nie straszy, bo po nim nagroda,— wianek Widy i kueziowska wespół z Widą władza. Lecz też ramię a rycerskie trzeba dać ludowi, — jak Siłomir wpośród niego, jako ojciec władać. A więc daléj do gonitwy! Śmiało!"

— Śmiało! — powtórzyła starszyzna.

— Śmiało — zawtórowały niewiasty i babule, a góry powtórzyły stokrotnie echem, mięszając ów wyraz z jakąś tęskną a odległą pieśnią. Chłopcy tymczasem rozerwawszy koło, skakali przez ognisko, a jaki taki sięgał po ów mniemany zawieszony na szczycie drzewa wianek. I oto już jeden uchwycił gałąź i już sięgał jego szczytu. Wida ujrzawszy to, a nie chcąc by kto z nią władzę dzielił, pochwyciła siekierę, rzuciła nią w gałąź, chcąc ją wraz ze śmiałkiem strącić na ziemię. Młodzian zręcznie odskoczył i stanął opodal; błysk z nad drzewa przemknął ognistą smugą—grom zahuczał i padł prosto w sam wierzchołek; burza się zerwała deszcz lunął potokiem i wiatr zawył szalony. Każdy krył się gdzie mógł, starszyzna nie mogąc stawić czoła niebezpieczeństwu przypadła do ziemi—niewiasty łzami ją skrapiały—dziewczęta skrywszy się w głąb doliny, smutną pieśń śpiewały—chłopcy patrząc w dogasające ognisko, podsycać go nie śmieli, zwracając wzrok swój w stronę, gdzie siedział wielki kneź Siłomir. Lecz tam zamiast wielkiego knezia stanęła skała. Wierzchołek jéj ubrany w czapkę kneziowską, łzy spływają strumieniem, a wielka broda jakoby srebrno białe kwiecie skałę ową okrywa. Ino dłoń z groźbą wyciągnięta w stronę, gdzie stało drzewo, na które Wida rzuciła swój wieniec. Drzewo strzaskane, u stóp jego wąż się wije, a na pniu skręconym stoi wielka sowa; okiem wśród ciemności błyska, szerokie skrzydła o drzewo obija i głosem ludzkim chichocze, a woła:

— Wida władzę ma! Wida kneź! chi! chi! chi!

Młódź wstrząsła się na ów głos złowrogi—najodważniejszy ze wszystkich chciał podsycić ogień, lecz oto tam daleko z za szczytu gór słonko srebrne blaski rzuciło, ptactwo ozwało się pieśnią wśród brzasku. Ranek zaświtał, obiata wskrzeszoną być nie mogła. Naraz z wszech stron poczęły odzywać się smętne głosy:

„Pieśnią płyniem wszystkie razem, obszedłszy te wzgórza, — nigdzie ziela nie znalazłszy na wianek dla Widy, choć i góry i doliny zeszłyśmy rzetelnie — nie nam znaleźć owe ziela — zginęły wśród wody—nie nam w słonku szukać iskry, lecz w pracy wśród chaty".

A z drugiéj strony głosy odpowiadały:

„Bieżym siostry, byle razem, siądźmy gdzie ognisko, — a tam wszystkie znów się znajdziem, bo już tryska ranek. Ptaki budzą się do pracy, niechajmy zabawy—oto promyk już słoneczka stroi nam dolinę".

I wysłane dziewczęta obszedłszy drogę daleką, zbiegły się ze wszech stron do znanéj sobie polany, a łatwo im też było trafić, bo gdy szły, rzewnie płakały;—a gdzie łza upadła, wyrastała śliczna zielona paproć, kryjąc pod swojemi liśćmi jako srebrne kwiaty maleńkie łezki, wysłanych przez dumną Widę dziewcząteк. Pieśń ich zadźwięczała równo ze słonkiem! — przybiegły, zasiadły około przygasającego ogniska, młódź owa wczoraj oddana zabawie, szybko wzięła się do pracy, — bogowie im w niéj dopomogli i oto stanęła piękna osada.

Stare zamczysko wśród burzy się zapadło, sterczą tylko dwie baszty tuż naprzeciwko Siłomira skały. Lud, nie mając dawnego pana, rozszedł się, lub połączył z młodą osadą założoną w miejscu, gdzie płonęło owe obiatne ognisko. Niema tam wśród nich wodza, lecz wszyscy pracą dopomagają sobie wzajem i żyją szczęśliwi. Dunajec szumi po dawnemu, duch Siłomira zaklęty w skałę z jednéj strony, a skały-baszty z drugiéj strzegą tego maleńkiego państwa. Dziewczęta po staremu kądziel przędą i domowego pilnują ogniska,

Ajudah.

chłopcy wśród pieśni i pracy usuwają chwasty i rumowiska, by stanąć kiedyś jako Siłomir wielką potęgą... Obiaty doczne słonku składają, ognie palą, lecz nie idą po iskrę do łonka. We własnéj pracy i sile tę iskrę mają. A paproć ośnie zielenią na okół, kryjąc swój kwiat tajemniczy pod iściem. Raz on tylko do roku zmienia się w piękne białorebrne lśniące perły.. Wtedy kołyszą się na listkach, a gdy kto taką posiadał perełkę, posiadłby wszelkie bogactwa mądrość;—lecz trudno to bardzo, bo gdy sowa swoje: „Wida neź" zawoła, potém: „pójdź"! zakrzyknie, owe srebrno białe erełki drżąc przed tym głosem z bojaźni, kryją się wewnątrz istka i dlatego nikt jeszcze kwiatu paproci nie posiadł.

AJUDAH.

SONET

p. **Adama Mickiewicza.**

(Skała na Krymie, którą opisał Adam Mickiewicz. Dla obznajmienia z jego poezyą naszych czytelników i wskazania ile pięknych myśli wysnuć można, patrząc na martwą skałę, zamieszczamy poniżéj sonet naszego poety).

Lubię poglądać wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie jak twe serce, o poeto młody!
Myśl różna często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody
Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

DORCIA,

powieść przez **Maryą Świderską.**

(Dalszy ciąg).

Przeszło kilka miesięcy, nastała chłodna jesień i Stefanek miał zaprzestać pasania gęsi po łąkach, a siostra biedziła się o niego, bojąc się próżniactwa lub wymówek, że darmo chleb je chłopczyna. Niewiele go dostawał sierota i Dosia ze szczupłego posiłku swego udzielała mu często jakiego kawałka, napominając tylko zawsze, by się nie łakomił na nic cudzego, choćby mu największy głód dokuczał. Czasem też dostawała dla niego jaki przysmaczek od panny Pichon, która ją lubiła niezmiernie, ucieszona, że mogła do roztropnego dziewczęcia rodzinną swą mową się odzywać. Melcia znów, jak gdyby przez zazdrość, zaczęła dokuczać Dorotce, to wynajdując jakieś niedokładności w robocie jéj, to znów łając, że się wtrąca w nieswoje rzeczy i jak papuga paple francuzkie wyrazy. Raz zobaczywszy w jéj ręku przy sprzątaniu książeczkę swoję do nabożeństwa, któréj tytuł dziewczynka odczytać usiłowała, wyrwała z gniewem książkę, wołając:

— Ty masz posługiwać, nie na książkach się uczyć! Rozumiesz? to do ciebie nie należy, próżniaku!

— Przepraszam panienkę, ja nie chciałam nikogo obrazić, i służę bardzo chętnie, ale też bardzo, bardzo chciałabym nauczyć się czytać...

— Proszę! — zawołała Melcia, tupiąc nogą — nie po to cię tu wzięli z litości, żeby cię na pannę wychowywać — Entendez Vous, mademoiselle! — i poczęła z wielkiém oburzeniem opowiadać pannie Pichon, o zuchwalstwie dziewczyny. Odpowiedzi Dorotka nie słyszała, ale ta się nie musiała podobać pannie Melci, która jéj kazała iść precz z pokoju i zagroziła, że „powie mamie", jeśli tylko zobaczy w jéj ręku książkę jakąkolwiek.

W parę dni późniéj, gdy po południu dziewczęta zajęte były szyciem w garderobie, drzwi się otworzyły z trzaskiem, a Melcia, wpadając z gniewem największym, chwyciła Dosię za ramię, krzycząc:

— Oddaj mi książkę moję, ty niepoczciwa! Gdzieś ją ukryła? dawaj zaraz!

Wystraszone dziewczę nie rozumiało o co rzecz idzie.

— Jaką książkę? — spytała drżącym głosem, wstając ze stołka.

— Jeszcze kłamiesz, udajesz, że nie wiesz! poczekaj, powiem ja mamie — i wybiegła równie szybko, jak była wpadła. Zdumiona Dosia oglądała się w około i nagle uderzył ją jakiś szyderczy i tryumfujący uśmiech na ustach Salki.

— Jakto, nie wiesz, że pannie zginęła książeczka do nabożeństwa, ta sama, co się tobie tak podobała? — szepnęła złośliwa dziewczyna. W téj chwili znów drzwi się otworzyły i weszła pani Malicka, a za nią rozczerwieniona Melcia.

— Bardzo brzydko postąpiłaś, nie spodziewałam się tego po tobie — ozwała się do Dosi pani Malicka — proszę, żeby książka się znalazła natychmiast, bo inaczéj źle będzie!

— Ale proszę pani — wyszeptało dziewczę łzami zalane— ja nigdy w życiu nic cudzego nie wzięłam; książeczka do nabożeństwa panny Melci gdzieś się zarzucić musiała...

— Tak, to już teraz wiesz, że książki do nabożeństwa braknie, a pierwéj mówiłaś, że ani pojmujesz o co idzie — ślicznie, ślicznie! sama się zdradziłaś... widzi mama!

— Ależ pani... — chciała mówić Dosia.

— Milczeć proszę! — zawołała pani z gniewem — niech ją panna Honorata ukarze jak należy, a jeśli do jutra książka się nie znajdzie, trzeba wypędzić te dzieci; złodziejów w domu trzymać nie będę. A nawet mówiła mi szafarka, że gąska jéj zginęła; to znów pewno braciszek téj siostruni się popisał. Było co przywozić z daleka! — i wyszła zagniewana z garderoby, za nią Melcia zaperzona także.

Biedna Dorotka stała niema z żalu i przerażenia; obwiniona o kradzież, ona, która rzeczywiście najmniejszéj drobnostki cudzéj dotknąć nie śmiała! Zagrożona wypędzeniem z domu razem z braciszkiem sierotą... Zakryła biedaczka twarz rękami i gorzko płakać zaczęła; dziewczęta patrzyły na nią ze współczuciem; Salka nawet przestała się uśmiechać, a panna Honorata, która, mimo gderliwości lubiła dziewczynkę za jéj pracowitość i łagodność, odezwała się:

— Jużto, moja Dorotko, najlepiéj zrobisz, jeśli cichutko zwrócisz tę książeczkę, i tak ci z niéj nic nie przyjdzie, a wypędzą cię pod zimę i na tém koniec.

— Ale ja książeczki nie wzięłam, broń Boże! Matka moja z tamtego świata wyrzekłaby się mnie, gdybym coś podobnego zrobiła; to się musi znaleźć koniecznie!

— Nie znajdzie się, bo już panienka wszędzie przeszukała i mnie wołała do pomocy nawet; zresztą wszyscy wiedzą, żeś na książki chciwa; nikt inny na toby się nie złakomił.

— Ach ja nieszczęśliwa! — powtarzała sierota, zalewając się łzami — co ja pocznę z tym biednym Stefankiem, gdzie się podzieję, i jeszcze nas o kradzież posądzają. Ach, matko moja najdroższa!...

Tymczasem panna Honorata wyszła z garderoby, a Józia się odezwała:

— Nie płacz, Dosiu, ja wiem, żeś ty uczciwa dziewczyna to się wykryć musi przecie!

Nawet Małanka rozbudzona jakoś ze snu cicho się przysunęła i głaskała po głowie dobrą dziewczynkę, która się tyle razy za nią ujmowała, a nigdy jéj nie wyrządziła przykrości; Salka tylko się nie odzywała, szyjąc z niezwykłą sobie pilnością.

— A ty nie widziałaś książki? — zagadnęła ją Józia — ty wścibska mysz, co wszędzie się wkręcisz?

— Zkądżebym miała wiedzieć? Przecież *ja* tam nie sprzątam.

— Nie sprzątasz... otóż to i cała rzecz — mruknęła Józia, jakby do siebie.

Dosia w milczeniu usiadła napowrót do roboty, szyjąc pilnie; nadszedł wieczor, nie dostała biedaczka podwieczorku i bez wieczerzy poszła na swój sienniczek w kącie, nie śmiejąc już nawet dziś zajrzeć do Stefanka. Ale spać sierota nie myślała nawet; uklękła, i modliła się długo płacząc, aż wreszcie zmorzona zmartwieniem i głodem zdrzemnęła się trochę. Zdawało jéj się, że klęczy przy łóżku chorej matki, która rękę na jéj głowie trzyma; a wtém naprawdę uczuła jakąś rękę na swém ramieniu, przetarła oczy i poznała Józię z Małanką. Obie coś do niej szeptały, czego z razu dosłyszeć nie mogła, ale przy świetle księżyca, które się wkradało przez okna, dojrzała złocistym krzyżem błyszczącą książeczkę.

— Boże mój! czy to cud, czy co? — zawołała, nie wierząc sama sobie i znów oczy przecierając.

— To ta Salka niegodziwa — szeptała Józia — pewnie na złość tobie skradła książkę; dopiero wyciągnęłyśmy to z jéj siennika.

— Chwała Bogu, że się znalazło! — powtarzała Dosia, składając ręce — już wy to same oddajcie panience, ale prawda! co powiedzieć, żeby nie karali bardzo Salki?

— Ty jeszcze żałujesz tego niciponia? Mało ci dokuczyła i nam wszystkim? — mówiła Józia.

— Och dokuczyła — przyświadczyła Małanka, która także coś o tém powiedzieć mogła, obita przed dwoma dniami właśnie za jakiś placek panny Henoraty, który naturalnie Salka zlasowała, a okruszyny jéj na kolana cichaczem wysypała, gdy się zdrzemnęła swoim zwyczajem.

Tymczasem jednak panna Honorata, zbudzona niezwykłym szmerem, usiadła na łóżku, pytając z gniewem, co się dzieje? Józia, nie wiele myśląc, opowiedziała o swém odkryciu, powołując się na świadectwo Małanki.

— Dobrze, dobrze już — mruknęła panna — a teraz idźcie spać i mnie nie budźcie, żebym się ze snu nie wybiła.

Po chwili wszystkie smaczno spały, Dosia tylko znów się modliła gorąco, dziękując Bogu, że jéj niewinność na jaw wyprowadził. Z rana sama panna Honorata rozmówiła się

panią i panienką, a wkrótce wróciła, niosąc ogromną brzozową rózgę, którą na stole położyła.

— Wytrząś no swój siennik, Salka — odezwała się do dziewczyny, która nagle spąsowiała, jak szkarłat. — Cóż ty, nie słyszysz, co mówię?

— Zaraz, panno, tylko go wyniosę na podwórze, żeby tu nie kurzyć.

(*d. c. n.*)

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Czasem chodziło o jakiegoś chorego, który już leżał bezwładny na macie, bo dopiéro w takim razie Komanczowie myślą o leczenie. Wtedy lekarze rozpoczynali długie przygotowania, malowali sobie różne znaki na ciele, pościli, wyprawiali tańce jakieś dziwne i wymawiając tajemnicze wyrazy, zanosili napój jakiś równie tajemniczy, choremu, ale zanim go napoili, zawsze wprzód zapowiadali, że Wielki Duch skazał już tego chorego na śmierć, a choć oni będą probowali odwrócić jeszcze ten wyrok, to przecież wątpią o skutku... Słysząc taką przemowę lekarza przy chorym, Karol nie mógł się wstrzymać od śmiechu, bo zrozumiał od razu, że jeżeli chory umrze, to należy podziwiać mądrość lekarską, która to przewidziała, a jeżeli chory wyzdrowieje, to należy znów podziwiać wpływy lekarza u Wielkiego Ducha. A tak, lekarz-kapłan zawsze dobrze wychodzi w téj sprawie, jakikolwiek obrót weźmie choroba.

Czasami Karol uczęszczał „do dworu" to jest podchodził do namiotu wodza. Zastawał tam najczęściéj Nilkę, siedzącą na macie, a koło niéj Pawła i ojca Anzelma. Od czasu do czasu jedna z żon wodza przechodziła, niosąc naczynie wyrobione z kalebasu lub rodzaj dzbanu, do głębi namiotu. Krótkowe te nie zachwyciły wcale Karola, gdyż toaletę miały cokolwiek zaniedbaną; co prawda, były na wpół nagie. Wybiegała także z głębi namiotu śliczna siedmioletnia dziewczynka, ubrana tak samo, jak Nilka, w tunikę haftowaną i jedwabną spódniczkę i podobna do Nilki, jak dwie krople wody; była to jéj rodzona siostra. Przybiegłszy zbliżała się do Pawła z którym wielką przyjaźń zawarła. „*Ksositl!* kwiatku!" wołano wtedy na nią z głębi namiotu, ale na to wołanie Ksositl przytulała się jeszcze bardziéj śmiejąc się, do siostry, aż Nilka uprosiła, że pozwalano małéj pozostać przy niéj. Co do żywności, téj była wielka obfitość, gdyż zabijano na jadło ogromne woły skradzione sąsiadom na wybrzeżach rio Bravo.

Dnia piątego od przybycia wędrowców na brzegi rio Bravo, Otumpa odbył pewien rodzaj przeglądu. Przeszło pięciuset wojowników z dowódcami swymi otoczyło go stojącego wraz z Nilką, a on przemawiał do nich kolejno. Nazajutrz o świcie znikł już namiot wodza i muły obładowane szły długim rzędem ku wschodowi. Główna część całéj gromady szła, jak się dowiedział ojciec Anzelm, nad rzekę Czerwoną, gdzie się znajdowała wielka wieś Komanczów, prawdziwy „dwór", jak to Karol nazywał. Ale dwustu wyborowych wojowników na najlepszych koniach i najlepiéj uzbrojonych przeprawiało się tymczasem przez rio Bravo. Sześć koni przyprowadzono dla naszych wędrowców, oddawszy im broń i amunicyą. Otumpa z czterema jezdzcami, z których jednym była Nilka, przybliżył się do swych gości. Młoda dziewczyna była znów po męzku ubrana, ale miała przytém i swą tunikę ścigniętą w pasie bogatym pasem, złotem haftowanym. Łuk i kołczan niosła na ramieniu a strzelbę u siodła. Siedziała na białym rumaku, którym powodowała z niepoównaną siłą i zręcznością. Nad czołem, na pysznych włosach, miała jak zazwyczaj swój dyadem z piór czerwonych. Była prześliczna w tym stroju i na tym przepysznym, wspaniale ubranym rumaku. Otumpa przemówił do ojca Anzelma:

— Będę towarzyszyć twemu przyjacielowi do rzeki złotéj i ciebie biorę z sobą. Miałem zamiar wyprawić cię z tamtymi moimi wojownikami, którzy wracają do rzeki Czerwonéj, ale bezemnie, nie byłbyś tam bezpiecznym, a Nilka nie chce, aby cię co złego miało spotkać.

Te słowa wodza, były rozkazami; ojciec Anzelm bardzo był z nich zadowolony. Paweł i jego towarzysze byli w uniesieniu radości. Nilka się uśmiechała. Przeprawiono się przez rio Bravo i Karol dowiedział się, że przebył granicę i stoi na gruncie Apaszów, tego ludu rozproszonego, który, gdyby mógł się zgromadzić, byłby najliczniejszym z plemion Ameryki północnéj, tak, jak niegdyś był jednym z najpotężniejszych. Apaszowie gnębieni od początku przez zdobywców Meksyku, są dzisiaj porozrywani na liczne pokolenia, nie znające się nawet pomiędzy sobą; a niektóre, na wpół wyszłe z dzikości, uległy hiszpańskiemu jarzmu. Apasz jest na prawdę dzikim łupieżcą takim, jak i Komacz, ale mniéj dzielnym niż też sąsiad, który nim też pogardza.

Kawalkata, a raczéj oddział przebywający rio Bravo, był dosyć znacznym. Przed głównym oddziałem jechało najprzód dwudziestu wojowników zbrojnych w łuki, strzelby i piki; o pięćset metrów za nimi postępował Otumpa z głównymi dowódcami i gośćmi; o dwieście metrów za nimi jechała reszta wojowników i szły liczne konie do zmiany, niosące teraz zapasy żywności. Karol uszczęśliwiony z doskonałego wierzchowca, nie miał wyznaczonego miejsca przy żadnéj z tych trzech części wojennéj kolumny, gdyż przy wszystkich trzech było go pełno i naprzód wypadał i znowu wracał, jak to swawolne dzieci robią, gdy z rodzicami idą na przechadzkę w pole. Był taki uszczęśliwiony, że zapomniał prawie o sławném przedmieściu św. Jakuba, choć paplał ciągle jak najęty. Nagle krzyknął:

— A toż co? drożyna? prawdziwa drożyna tutaj? Zkądże ona tu się wzięła?

— To jest droga wiodąca do Santa-Fé, od którego oddaleni jesteśmy tylko o mil czterdzieści — odpowiedział misyonarz.

— A co to jest za ryba, czy zwierzę, to Santa-Fé?

— Jest to stolica Nowego-Meksyku, miasto znaczne, którego mieszkańcy są katolikami.

— A więc powracamy w krainy cywilizowane?

— Na chwilę tylko, zaraz wejdziemy znowu w pustynię. Jeżeli się nie mylę, to spotkanie nasze z Otumpą ocaliło Santa-Fé, od rabunku, gdyż prawdopodobnie ku temu to miastu, skierowaną była cała wyprawa wodza Komanczów.

Przejeżdżano obok osady tylko co spalonéj przez Komanczów, którzy nie myśleli zapierać się swéj roboty. Widok tych budowli dziwnie jakoś wzruszył wędrowców, ponieważ były to pierwsze domy europejskie, które widzieli, odkiedy opuścili Zieloną Skałę. Nazajutrz spoczęli u stóp gór zwanych Zunis, stanowiących część sławnego łańcucha Sierra Madré. Czterech Indyan Zunisów przyprowadzono do Otumpy. Jeden miał barwę skóry białą, oczy niebieskie, włosy jasne, Karol pewien był, że to Europejczyk. Tymczasem autorowie hiszpańscy zaręczają, że ten typ szczególniejszy bardzo jest pospolity pomiędzy Zunisami, którzy mają podobno pochodzić od rozbitków Europejczyków, zapędzonych tu jeszcze przed odkryciem Ameryki przez Kolumba. Ale ojciec Anzelm uważał to wyjaśnienie za bajkę i utrzymywał, że ludzie o skórze białéj, znajdują się między Indyanami wszelkich pokoleń, gdyż są to tak zwani Albinosi.

Spostrzeżono kilka chat przy drodze pod lasem; w chatach nie było ludzi, którzy zapewne uciekli na widok przedniéj owéj straży oddziału. Zabrano z téj wioseczki, co się wziąć dało, indyki, kury, świnie, część téj zdobyczy przyrządzono tegoż dnia na wieczerzę.

— No, no... do czego też to przyszło, żebym ja... jadł rzeczy kradzione... — mruczał Karol zajadając smaczno.

Następnego dnia napotkano znów chaty, otoczone starannie uprawnemi łanami kukurydzy, w którą wojownicy puścili konie swoje.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Podróżnicy nasi w Afryce.

Dawno już nie donosiliśmy czytelnikom „Wieczorów" o losach dzielnych naszych podróżników, pp. Rogozińskiego i Janikowskiego. Ale bo też tak dziwne, a niepewne krążyły o nich wieści, że woleliśmy poczekać nieco, aż się wszystko wyjaśni. Teraz doszło już do Warszawy parę listów, w których podróżnicy opowiadają szczegółowo, co się z nimi przez ten czas działo; zapowiadają też przyjazd swój do kraju, gdyż w chwili obecnéj muszą zaniechać przedsięwzięcia dostania się w głąb afrykańskiego lądu i poczekać, aż się okoliczności lepiéj dla nich złożą.

W Grudniu roku zeszłego obaj towarzysze wybierali się już na zamierzoną wyprawę. „Rogoziński, pisze p. Janikowski, przywiózł tragarzy z plemienia Kru, z którymi odbyliśmy zaraz wycieczkę na przylądek Mongo Ma-Lobah, a po powrocie zaczęliśmy robić przygotowania do podróży w głąb przez jedyną jeszcze tu możliwą drogę, to jest rzekę kameruńską. Wtém pewnego południa przed świętami krajowcy przynoszą nam jak grom niespodzianą wiadomość: „Wojna na rzece! Wielu białych zginęło, miasta w płomieniach!" Wiadomości te przeraziły nas, gdyż znając krajowców i ich sposób prowadzenia wojny, mogliśmy z góry obliczyć następstwa. Wszystkie nasze plany i nadzieje w jednéj chwili były zniszczone! W parę dni potém mieliśmy szczegóły prawdziwe.

Okazało się, iż ważne wypadki gotowały się na tém oddaloném, dzikiem wybrzeżu afrykańskiego lądu. Dwa mocarstwa europejskie, Anglia i Prusy, zaczęły się jednocześnie dobijać o posiadanie téj ziemi. Smutna to rzecz bardzo, lecz wyznać trzeba, że Europejczycy zazwyczaj nieszczególne dają wyobrażenie dzikim ludom o swojéj cywilizacyi, postępując z nimi zupełnie, jak barbarzyńcy. Zamiast zjednać sobie przychylność krajowców sprawiedliwém i łagodném postępowaniem, oni zagarnują ich ziemię dla własnéj korzyści, a gdy mieszkańcy bronią téj niezaprzeczonéj swéj własności, mordują ich bez miłosierdzia.

Tak postąpili właśnie w tym razie Prusacy na wybrzeżu kameruńskiém, i wiele tém przyczynili przykrości i kłopotów naszym podróżnikom. P. Rogoziński, przekonawszy się, że Anglicy nie czynią tyle złego krajowcom, nie prowadzą z nimi wojny i nie wszczynają zamięszania, któreby mu przeszkadzało w jego zamysłach, oczywiście sprzyjał im daleko więcéj, niż Niemcom. Ponieważ miał stosunki przyjazne z kilku władcami murzyńskiemi, więc namówił ich, aby się dobrowolnie oddali pod opiekę Anglików i traktat z nimi podpisali. Sam także, posiadając obszar ziemi, od krajowców nabyty, wywiesił tam flagę angielską, na znak, że protektorat tego narodu przyjmuje.

Nie podobało się to bardzo Prusakom, zaczęli więc z bronią w ręku gospodarować po kraju, zmuszać mieszkańców do podpisywania układów z ich rządem, i do sprzeniewierzenia się tym sposobem Anglikom; a jeśli kto nie chciał na to przystać, napadali zbrojno, bili i mordowali. Dowiedziawszy się zaś o nieprzychylnych dla nich czynnościach pana Rogozińskiego, chcieli go pochwycić i uwięzić. Pan Janikowski, którego nie poznano i wzięto za Rogozińskiego, był już nawet aresztowany, lecz wypuszczono go na przedstawienie Anglików, którzy się ujęli za naszymi podróżnikami. Skończyło się na tém, że dzielny Rogoziński mianowany z stał przez rząd angielski komisarzem cywilnym z władzą g bernatora w kolonii Wiktoryi. Jako urzędnik angielski, je więc obecnie bezpieczny, lecz z powodu ciągłego niepokoj wśród ludności miejscowéj, nie może myśleć o dalszéj podr ży. Przybędzie też do kraju, aby wypocząć i obaczyć się z r dziną, nie tracąc wcale nadziei, że późniéj nieco zamiar swoje przeprowadzi szczęśliwie.

SZARADA (Kuropatwa).

Pierwsze przyimek, dążenie oznacza
Pierwsze i trzecie stos nagromadzony,
Pierwsze i czwarte, to znamię bogacza,
Co się przywiązał zbytnio do mamony,
Drugie i trzecie płyn tak dobrze znany,
Lecz jeszcze w stanie rodzimym będący;
Po oczyszczeniu, jest to używany
Powszechnie prawie płyn oświetlający.
Wszystko, na naszych gnieżdżący się łanach,
Ptaszek, szarawém ubarwiony pierzem,
Głos jego słychać w mgły rannéj tumanach,
Ten smaczny kąsek chętnie do ust bierzem.

Łamigłówka głoskowa.

(Od Wiewióreczki dla Zosi i Heni).

Noc—Boa—Teodoryk—Kundel—Rarog—Kair—Pawik—Rekin—Ludwik—Gdańsk—Zwierciadło—Oczko—Fizyk—Gołąb—Grodno—Anna—Litwos—Wirek—Narew—Ilmen—Aniela—Sarna. — Z każdego z tych wyrazów wybrać po jednéj literze aby ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Szarady:

Po — lak.

Łamigłówki w kwadraciku:

M O P S
O P A T
P A R A
S T A W

Ofiary. Od Sarenki i Jagódki dla biednych dzieci złożo rs. 1.

Do wszystkich. Składki dla Maniusi już zamykamy bo są do stateczne, a prosimy natomiast o ofiary dla innych biednych dzieci

TREŚĆ: Uczta przed 50 laty (z drzew.) — Baśń o paproci p. Z. Morawską. — Ajudah wiersz (z drzew.) — Dorcia powieść przez Maryą Świderską (c. d.) — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania i ogłoszenie **W Dodatku:** Pisklęta (z drzew.) — Walerka i cukierek wierszyk p. Helenę Bojarską. — Wody mineralne. — Kanarek, z angielskiego (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenia. **Dodatek książkowy:** Mały książę powiastka historyczna przez miss Yonge przekład z angielskiego.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Іюня 1885 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr 11.